

Zajechała pod dom Glassów o jedenastej czterdzieści dwie. Spóźniła się ponad dwadzieścia minut z powodu tłoku na Santa Monica Freeway. Zaparkowała swojego wielkiego dodge'a na ulicy i wyskoczyła z szoferki.

Inspektor firmy ubezpieczeniowej czekał na nią w samochodzie z włączonym silnikiem, próbując chłodzić się powietrzem z klimatyzacji. Kiedy zobaczył Bonnie, wysiadł i założył okulary przeciwsłoneczne. Był młody i bardzo szczupły, z krótkich rękawów białej koszuli wystawały ramiona blade jak skóra kurczaka.

— Pani Winter? Jestem Dwight Frears z Western Domestic Insurance.

— Miło mi pana poznać — odparła Bonnie. — Przepraszam, że kazałam panu czekać.

— Cóż, proszę pani, czekanie... — uśmiechnął się — należy do mojego zawodu.

Poranek był upalny, temperatura dochodziła do czterdziestu stopni Celsjusza. Niebo aż brązowe od smogu. Bonnie przeszła przez szczeciniasty, niekoszony trawnik przed domem Glassów, stanęła, opierając dłonie na biodrach, i zaczęła przyglądać się budynkowi. Dwight Frears podeszedł bliżej i stanął obok niej, nerwowo trzaskając długopisem.

— Szeryf Kellett mówił, że to się stało dwa tygodnie temu — powiedziała Bonnie.

— Zgadza się, proszę pani. — Dwight Frears spojrzał na deseczkę z klipsem, którą trzymał w ręku. — Dokładnie ósmego lipca.

Bonnie osłoniła oczy dłonią. Dom Glassów niczym się nie różnił od setek takich samych domów w San Bernardino. Miał pokryty gontem dach, werandę w hiszpańskim stylu i garaż z tablicą do koszykówki, zamocowaną na zgiętym pręcie. Jedyna różnica polegała na tym, że był bardzo zaniedbany — klimatyzacja dawno wysiadła, siatka w drzwiach była porwana, a jasnozielone stiukowe zdobienia zaczynały się kruszyć i odpadać.

Podeszła do frontowego okna i spróbowała zajrzeć do środka przez listewki brudnozielonej żaluzji, ale udało jej się zobaczyć jedynie zapadniętą, wyłożoną białym winylem kanapę i własne odbicie: zobaczyła trzydziestoczworoletką o pełnych kształtach i jasnobłond włosach, ubraną w czarny T-shirt z Elvisem i białe dżinsy z gumą w pasie.

Dwight ponownie zajrzał do swoich notatek.

— Biuro koronera twierdzi, że dzieciaki znaleziono w sypialni od tyłu. Jedno leżało na łóżku, drugie znaleziono skulone w kącie.

Bonnie obeszła dom. Po drodze schyliła głowę i przeszła pod prowizorycznie zamocowanym sznurem do suszenia bielizny. Za budynkiem znajdowało się małe podwórko z huśtawką i karuzelą dla dzieci, dwoma leżakami i grillem, pokrytym grubą warstwą spalonego tłuszczu. Tuż obok leżał przewrócony na bok trójkołowy rowerek.

Można było stąd zajrzeć do kuchni. Gdyby nie chmary much, które obsiadły każdy kawałek przestrzeni, wyglądałaby jak każda inna kuchnia. Okno sypialni było pokryte od wewnątrz czymś, co wyglądało jak migotliwa zasłona. Dwight zamierzał coś na jej temat powiedzieć, po chwili zrozumiał jednak, co widzi, i odwrócił się od okna.

Bonnie wróciła do frontowego wejścia.

— No dobrze... Wygląda na to, że trzeba będzie przede wszystkim zająć się tylną sypialnią i zrobić generalne sprzątanie całego domu. Zajmie to minimum sześć godzin, co wyniesie tysiąc dwieście plus koszty materiału i transportu, w sumie jakieś tysiąc pięćset.

Kiedy Dwight się odezwał, sprawiał wrażenie, jakby miał trudności z oddychaniem.
— Tysiąc pięćset...? Myślę, że... no tak, oczywiście.

Siedzieli potem w jego samochodzie i wypełniali formularze dla towarzystwa ubezpieczeniowego. Dwight już kończył, kiedy pojawił się kolejny samochód — poobijany niebieski datsun, mający tylko jedne brązowe drzwi. Wysiadła z niego niewysoka, przypominająca ptaka kobieta z dużym nosem i spiętymi na czubku głowy włosami. Podeszła do okna pasażera samochodu Dwighta i zastukała w szybę.

— Cześć, Bonnie. Przepraszam za spóźnienie.

— Cześć, Ruth. To jest Dwight.

— Cześć, Dwight.

Dwight podpisał kosztorys i bez słowa podał go Bonnie.

Kiedy odjechał, Bonnie i Ruth poszły na tył półciężarówki. Była załadowana pięciolitrowymi kanistrami z silnym środkiem dezynfekującym, rolkami zielonego plastiku, paczkami wzmacnianych worków na śmieci, puszkami środków owadobójczych oraz skrzynkami wybielaczy i rozpuszczalników.

— Dogadałaś się z Dukiem? — spytała Ruth. Wyjęła jasnożółty plastikowy kombinezon i zaczęła go wkładać.

— Chyba tak, chociaż... nie jestem do końca pewna. Jest teraz taki... dziwny. Gdybym nie wiedziała, że jest na to zbyt leniwy, sądziłabym, że spotyka się z inną kobietą.

Bonnie również włożyła kombinezon ochronny. Nawet kiedy było chłodno, nieprzyjemnie oblepiało ciało, a w temperaturze, jaka panowała w tej chwili na dworze, z Bonnie zaczął łać się pot, zanim zdążyła zapiąć suwak. Usiadła na przednim zderzaku ciężarówki i włożyła gumowce.

— Wiesz, co tu się stało? — spytała Ruth.

— Nie bardzo. Jack Kellett powiedział mi tylko, że doszło do kłótni o opiekę nad dziećmi. Matka nie chciała oddać dzieci mężowi, a potem sąsiedzi poczuli dziwny zapach, dochodzący z domu. Kiedy weszli do środka, okazało się, że matka zniknęła, a dzieciaki nie żyją.

Ruth podała Bonnie aparat do oddychania, sama założyła drugi, po czym ruszyły w kierunku domu z dziesięcioma litrami środka owadobójczego i workami na śmieci. Aż do tej chwili ulica była wyludniona, teraz jednak na przeciwległym chodniku pojawił się mężczyzna i zabrał się do mycia samochodu. Mieszkające obok niego małżeństwo również wyszło przed dom i zaczęło się niezwykle uważnie przyglądać swojemu zraszczowi trawnika. Wokół domu Glassów krążyła trójka nastolatków na deskorolkach, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi.

Uda Bonnie ocierały się o siebie z plastikowym piskiem, a z powodu aparatu, który miała na twarzy, jej oddech przypominał zdyszane sapanie astmatyka. Doszła do frontowych drzwi i wyjęła klucz, który dostała z agencji handlu nieruchomościami. Na drzwiach przy-mocowana była mosiężna kołatka w kształcie dużego chrząszcza. Bonnie przekreśliła klucz i razem z Ruth weszła do środka.

Był to zwykły, mały dom. Z wąskiego korytarzyka wchodziło się na lewo do salonu od frontu, a za drzwiami po prawej znajdowała się sypialnia. Prowadzące do kuchni drzwi na wprost były lekko uchylone.

W środku kłębiło się od much. Pełzały wszędzie — po ścianach, meblach, oknach. Bonnie dotknęła dłonią ramienia Ruth i zrobiła gest oznaczający odkurzanie. Ruth uniosła w górę kciuk i poszła szukać komórki na szczotki.

W korytarzyku wejściowym wisiał wielki drewniany krzyż z plastikowym Chrystusem, a pod nim przymocowano tabliczkę z wypalonym napisem: NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI DZIECI. Bonnie poszła do salonu z białymi, winylowymi meblami, wśród których stał telewizor z ekranem wielkości sądu hrabstwa Los Angeles. Choć aparat do oddychania oszczędzał najgorszego, czuła feter rozkładu, gdyż był tu znacznie intensywniejszy. Zanim zabrała się do tej roboty, nigdy nie myślała o tym, jak bardzo śmierdzą ludzie po śmierci. Nawet wyschnięta krew śmierdzi.

Czasami leżała w nocy, nie mogąc zasnąć, i zastanawiała się, jak ludzie mogą się kochać, jeśli wiedzą, jak łatwo się psują i jacy są w środku.

Popatrzyła na dywan. Jego długi, beżowy włos był splątany, a całą jego powierzchnię przecinały we wszystkich kierunkach rzędy brązowych odcisków stóp, przypominające wzory malowane na podłogach jako pomoc do nauki tańca. Poszła do kuchni, przy każdym kroku strząsając z twarzy chmary much. Pozostawiona na zlewozmywaku sałata zamieniła się w kupkę żółtego śluzu — tuż obok niej leżał nóż.

Na podłodze sypialni od tyłu zobaczyła porozrzucane zabawki. Dziecięcy telefon. Jasnobłękitna ciężarówka przewożąca cegły. Pod ścianą stało łóżko, a pod kątem prostym do niego drugie, składane. Na oknie siedziało tyle much, że ledwie dało się dostrzec połyskujące na obu materacach, jakby zrobione werniksem, brązowe plamy.

Bonnie wzięła jeden z worków na śmieci, ściągnęła z karniszy zasłony i poupychała je w workach — razem z tysiącami migoczących szmaragdowo much. Do sypialni weszła Ruth, wsadziła do kontaktu wtyczkę odkurzacza, który przyniosła ze sobą, i zaczęła zbierać nim kłębiące się wokół składanego łóżka muchy z takim spokojem, jakby sprzątała własne mieszkanie.